Nr. 10. Kraków, Październik 1919. Rok XIII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
I ADMINISTRACYA:
Kraków,
plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 4 K.
półrocznie 2 K.

Cena egzemplarza
wynosi 40 halerzy.

TRESC NUMERU X-go:

Socyalizm i katolicyzm.

Widzieliśmy przed wojną w parlamentach różnych państw rozmaite partye i stronnictwa, które wojowały ze sobą. Przyszła wojna, która zmieniła wiele rzeczy, obaliła wiele stronnictw i wysunęła na czoło przedewszystkiem dwie siły, dwie potęgi, a mianowicie: katolicyzm i socyalizm. Inne kierunki i partye giną i rozpływają się w tych dwóch prądach. Do katolicyzmu albo socyalizmu należał będzie przyszły świat. Dziś te dwie potęgi stoją naprzeciw siebie i przygotowują się do walnej rozprawy.

Są ludzie, co chcieliby uniknąć tej walki i pogodzić obie potęgi. Pytają się oni, czy nie możnaby do tej zgody dojść i szukają jej szczerze. W ostatnich czasach między Niemcami odezwało się kilka głosów za porozumieniem się katolików i socyalistów. Ludzie ci żądają, aby katolicy trochę ustąpili na rzecz socyalistów, a socyaliści na rzecz katolików, i tak będzie się można pojednać i zaprzestać walki. Dla dobra ludzkości byłaby to rzecz nieocenionej wagi. I w Polsce odzywają głosy za tą zgodą.

Zapytajmy się tedy, czy można pogodzić socyalizm z katolicyzmem i czy prawy katolik może

być socyalistą? Odpowiada na to pytanie Emil Vanderwelde, przywódca socyalistów belgijskich, w broszurce, którą napisał. Wynika z jego słów, że sami socyaliści nie wierzą, żeby można pogodzić katolicyzm ze socyalizmem. Powiada on bowiem, że socyalizm a religia, to dwie rzeczy tak sobie przeciwne, jak ogień i woda. Nie mówi on wcale o klerykaliźmie ani o katolicyzmie nawet, ale o religii jako takiej. Socyalizmu z żadną religią nie można pogodzić, a już co najmniej z katolicyzmem. Szkoda czasu na to, aby godzić ze sobą te dwie rzeczy, sprzeczne z sobą i wewnętrznie się wykluczające. Socyalizm, gdyby się pogodził z religią chrześcijańską, przestałby być socyalizmem, a stałby się chrześcijańską demokracyą, która już przecież u nas istnieje i walczy z socyalizmem do upadłego.

Ci, co chcą zgody z socyalistami i pragną pogodzenia się katolicyzmu z socyalizmem, powiadają, że wystarczy, aby katolicy nie podpierali panowania cesarzy i królów, aby nie łączyli się ze stronnictwami politycznemi chwilowo silniejszemi, aby pozbyli się szowinizmu narodowego, aby walczyli z militaryzmem, imperyalizmem i kapitalizmem — że to już wystarczy, aby podać rękę socyalistom i pogodzić się z nimi. Tymczasem jest to nieprawdą. Gdyby naprawdę tylko o te rzeczy chodziło, gdyby naprawdę te jeno rzeczy były zaporą do zgody, powinnibyśmy te rzeczy potępić i dla dobra religii pojednać się z socyalizmem. Nie byłoby zażartej walki i moglibyśmy razem współpracować dla dobra ludzkości. Tymczasem powiadamy, że tylko starzy, ciaśni, ciemni i bezduszni ludzie mogą dzisiaj hołdować szowinizmom, militaryzmom, imperyalizmom i kapitalizmowi. Katolicyzm jako taki, niema nic wspólnego z temi rzeczami. Myśmy te wszystkie zie widma dzisiejszej ludzkości powinni zwalczac i to zwalczać w interesie religii, dlatego, że one są szkodliwe dla religii. Jeśli je zwalczają socyaliści, to i my je zwalczamy, to i my je zwalczać winniśmy — chyba jaki z niedziały katolik popierać je może, taki katolik, co mu niczego nie brak i nie czuje biedy. Ale katolicyzm sam jako taki nie może im dać pomocy, ale my katolicy w imię religii nie możemy ich bronić, bo wtenczas sprzeniewierzylibyśmy się naszym religijnym zasadom. Jeśli tedy socyaliści walczą z militaryzmem i kapitalizmem itd., to i my także walczymy i my jesteśmy wrogami kapitalistów i ogromnych armii, przeznaczonych na podbój narodów i świata.

A więc nie tu tkwi istota sporu między socyalistami a katolikami. Gdzież tedy? gdzie jest ta zasadnicza cecha, co nam przeszkadza pogodzić się? Mówimy o socyaliźmie, jako pewnej teoryi, pewnej nauce, co chce hasła swoje przeszczepić do życia. Otóż różnica polega na tem, że socyalizm z natury swej jest ateistyczny, tzn., że nie przyjmuje istnienia Boga, a dzieje ludzkości pojmuje materyalistycznie tzn. tak, jakby człowiek nie miał zupełnie nieśmiertelnej duszy i był tylko samem ciałem i nie potrzebował wcale kierować się w życiu jakąś myślą o zagrobowem życiu. Socyalizm, jako zorganizowana całość, chce całkowicie zmienić nietylko stosunki gospodarcze, ale także religijne i moralne pojęcia. Chce te zasady religijne i moralne przeobrazić, a w tem właśnie stoją mu na przeszkodzie Bóg, religia i Kościół. I stąd niezgoda i walka. Przyznaje to sam Vanderwelde.

Bliższą, namacalną różnicą między socyalizmem a katolicyzmem stanowi pojęcie własności prywatnej. Socyalizm w ostatecznych konsekwencyach zaprzecza jednostce naturalnego prawa do posiadania własności i chce wprowadzić powszechne przymusowe wywłaszczenie. Dziś np. wprost do tego dążą bolszewicy, inni socyaliści dążności do tego się nie wypierają, chcą tylko na razie poprzestać na połowicznych środkach. My zaś takie socyalistyczne przymusowe powszechne wywłaszczenie uważamy za gwałt i przekroczenie 7 przykazania Bożego. Stąd znowu walka między nami.

Powiedziałby ktoś, że powinniśmy liczyć się z socyalizmem takim, jaki on jest w życiu — nie w teoryi. Otóż właśnie — ten żywy socyalizm, ucieleśniony w tysiącach sekciarzy, podkopuje religię i wysila się, aby zdemoralizować robotnika, chłopa, aby mu wydrzeć wiarę w Boga i przywiązanie do Kościoła. Świadczą o tem tysiące broszur, w których socyaliści wprost szerzą niewiarę i bezbożność. Póki się oni nie zmienią pod tym względem, niemasz zgody między nimi a katolikami.

W rocznicę.

Dnia 31 października upływa rok od chwili przełomowej w dziejach Polski, kiedy Kraków zrzucił pęta niewoli. Z gmachów rządowych zdarto orły austryackie, wywieszono sztandary narodowe, żołnierz wypowiedział posłuszeństwo obcej władzy, a ogłosił iż służy Polsce. Ten dzień październikowy, to początek nowego życia w Polsce, to przebudzenie się narodu i wyzwolenie z długiej, ciężkiej niewoli. Pamiętamy wszyscy dobrze te dni jesienne, początkowe dni listopada, kiedy to zaczęły nadchodzić z różnych stron elektryczne wieści. Cieszyn polski, z Lublina uciekli Austryacy, Warszawa wolna, cała Kongresówka w naszych rękach! Radość nasza była wielką, ale nie pełną, bo oto na wschodzie krwawa rozsnuła się pożoga. Lwów bohaterstwem swych dzieci i kobiet bronił się przed hajdamacką dziczą, kresy spłynęły męczeńską krwią. Radość nasza nie była pełną jeszcze i z tego względu, że lękaliśmy się o zachodnią połać Polski, o Poznańskie, gdzie Prusak swą ciężką łapę jeszcze trzymał.

Minął rok od tej chwili, a granice nasze za ten czas rozprzestrzeniły się szeroko. Z końcem grudnia Poznań zrzucił z siebie jarzmo germańskie, Lwów i cała Ziemia Czerwieńska doczekały się odsieczy, z wiosną Wilno złączyło się z Macierzą, armia nasza daleko na wschód przesunęła granice Rzeczypospolitej. Dziś jesteśmy już wielkiem, jednem z największych państw Europy. — Trapi nas pod tym względem jeszcze troska o los ziem, na których ma się dopiero odbyć głosowanie, czy chcą należeć do Polski, ale ufamy, że głosowanie to wypadnie dla nas korzystnie i złączą się z Polską Śląsk Górny i Cieszyński, złączą Mazury, Warmińskie, złączy Spisz i Orawa.

Kiedy się wszczął ów wielki w dziejach Polski przewrót listopadowy, lękaliśmy się nie tylko o granice nasze, ale i o ład wewnętrzny, baliśmy się, czy Polska przetrzyma te niespokojne chwile, czy nie runie w gruzach nierządu i bolszewizmu. Obawy nasze były tem większe, że wszelkie władze własne trzeba było dopiero stwarzać, armię organizować od nowa, a ze wschodu i zachodu zaraza bolszewicko-socyalistyczna poczęła nam grozić. Różni ludzie próbowali rzeczywiście zamęt w nasze stosunki wprowadzić, ogłaszano różne czerwone manifesty, agitowano przeciwko armii, tworzono nawet warcholskie, niby to „ludowe" rządy. Społeczeństwo polskie jednak okazało się w swej większości zdrowem, organizm narodowy znalazł w sobie siłę odporną przeciwko czerwonej chorobie i ład powoli nastał. Mamy dziś już sejm ustawodawczy, z wolą całego narodu wybrany, mamy wszystkie władze państwowe już zorganizowane, mamy armię silną, która granic i ładu wewnętrznego strzeże. Możemy dziś spokojnie i z otuchą w przyszłość patrzeć.

Naturalnie, nie wszystko u nas jeszcze tak jest, jak być powinno, są jeszcze różne braki i usterki w naszem życiu społecznem i państwowem, które nam usunąć należy, ale błędy naprawia się nie warcholstwem, nie krzykactwem, nie burzeniem, lecz spokojną, rozważną pracą. Nie krzyczeć nam, że źle jest, lecz pracować nad tem, by było lepiej, potrzeba. Pamiętać musimy przecież, że Matka-Ojczyzna znalazła nas w złym stanie, byliśmy przez wrogów wyniszczeni materyalnie, zepsuci duchowo, to wszystko trzeba powoli naprawiać. My jesteśmy po tej strasznej wojnie podobni do pogorzelców, którzy muszą wszystko dopiero odbudowywać. Nie dziwmy się więc, że jeszcze nie we wszystkiem jest dobrze, nie kłóćmy się ze sobą, nie próżnujmy, ale zakaszmy ręce do roboty i każdy niech według sił swoich przyczyni się, by było lepiej.

Pracować, pracować i jeszcze raz pracować wszyscy musimy, pracą tylko na każdem polu możemy sobie i Ojczyźnie jaśniejszą przyszłość wykuć.

F. B.

Do szkoły.

Rozpoczął się rok szkolny. Szkoła, przybytek nauki i oświaty, otwiera swoje wrota przed młodzieżą. Szkoła to już nasza, polska. To nie ta szkoła, w której zabraniał nauczyciel pruski mówić dzieciom po polsku, to nie szkoła na modłę szkół rosyjskich, ale to szkoła nasza, polska. Do tej szkoły macie posyłać swe dzieci.

Czy wy sami chodziliście w młodości swej do szkoły? Jeśli tak, to pamiętacie zapewne te chwile. Żywo one wam stoją przed oczyma. Byliście tacy mali, z torbą na plecach albo ze zawiniątkiem

pod ramieniem, z kromką chleba w kieszeni pędziliście, podskakując ku budynkowi, w którym siedziało i hałasowało dużo wam podobnych dzieci. Naraz dzwonek się rozlega, wrzawa milknie, cichnie, wchodzi do izby nauczyciel, zaczyna się pacierz, a potem nauka, pytania i objaśnienia. Cy wy to pamiętacie? jeśli lubiliście się uczyć, to napewne pamiętacie i do śmierci przechowacie wspomnienie tych chwil, jak rzeczy najmilszych w życiu. Jeśli uczyć się nie mieliście ochoty, jeśli nieraz nauczyciel dawał w skórę, to i to sobie zapamętacie, tylko pewien żal będziecie mieli, iż nie korzystaliście z oświecenia i zatraciliście wiele chwil sposobnych.

Dziś jesteście starsi, poważni, może nawet przy urzędzie. Do szkoły mają iść wasze dzieci. Czy wy te dzieci poprowadzicie do izby szkolnej i oddacie je pod kierunek dobrego nauczyciela? Czy może będziecie obojętni i zostawicie głupiemu dziecku do wyboru: chce iść, niech idzie, a nie ma ochoty, to niech zostanie w chałupie. A może nawet będą między wami tacy, co dziecku nwącemu się do nauki, wyrwą książkę z ręki i każą mu paść bydło i zapomnieć o szkole?

Czy widzieliście kiedy dzieci w czasie nauki? Siedzą cicho, wpatrzone w nauczyciela, jak w tęczą, słuchają, co on im opowiada. I uczą się, rozszerzają widnokrąg swej myśli, poznają rzeczy nowe. Poznają świat, a przy nauce religii poznają Tego, co świat wywołał z nicości do istnienia, poznają Boga. Co za cudowny widok, co za rzewna chwila! Największą nagrodą dobrego nauczyciela jest widok pilnych, uważnie słuchających dzieci. Największem szczęściem dobrego, pilnego dziecka jest robienie postępu w naukach, korzystanie z oświaty. Czy wy, rodzice, chcielibyście swe dzieci pozbawić tego szczęścia? Czy wy śmielibyście to zrobić? Nie, wy chyba macie zrozumienie, że wyrządzilibyście dzieciom swym ogromną krzywdę. Polska potrzebuje ludzi świadłych i uświadomionych. Nic jej po takich obywatelach, co nie umieją czytać, ani pisać. Polska żąda od was, byście kochali dzieci i kochali ją i abyście przez tę miłość ku niej i ku dzieciom, posyłali swe pisklęta do szkoły. Wy to zrobicie, wy tego nie możecie nie zrobić.

Do wspólnej pracy.

Daje się dzisiaj zauważyć na całym obszarze Polski wielka i silna dążność do zjednoczenia wszystkich ludzi dobrej woli, do skupienia wszystkich sił katolickich. Dążność ta objawia się na wszystkich polach: w polityce, w życiu społecznem, w dziedzinie piśmiennictwa itd. Jest bowiem w Polsce olbrzymia siła, którą nazwalibyśmy siłą katolicką, ale siła ta jest albo uśpiona, albo też żyje w drobnych skupieniach. Siłę tę należy obudzić, a obudzoną już skupić razem w jednolite, zwarte ciało, któreby wpływało potem na całe społeczeństwo. Myślą o tem już od dłuższego czasu mądrzy ludzie, mówią o tem na zebraniach i krzątają się, aby zjednoczyć wszystkie siły katolickie w Polsce w jedną całość dla wspólnej pracy. Cel mamy przecież jeden, sposób działania prawie że ten sam, więc pocóż się dzielić, gdy wszystko nas łączy?

Taka była podstawa zjazdów, jakie się odbywały w Krakowie w dniach od 7—10 września, tj. przez cztery dni z rzędu. Pierwotny zjazd, trwający dwa pierwsze dni, miał charakter polityczny i zakończył się zlaniem się chrześcijańsko-narodowego Stronnictwa robotniczego w Krakowie z chrześcjańską demokracyą dawnego Królestwa. Jeszcze mają przyłączyć się do nowego Polskiego Stronnictwa chrześcijańskiej Demokracyi Poznańczycy. Zdarzenie to jest bardzo doniosłe i przyniesie zbawienne owoce. Zebrani byli przejęci niezwykłym zapałem dla tej sprawy. — Stronnictwo to w pierwszym rzędzie będzie popierać interesy ludu pracującego i będzie walczyć za sprawę ludu. Ludzie, czujący po katolicku, winni temu wypadkowi szczerze przyklasnąć.

Trzeci dzień tj. 9 września był poświęcony zjazdowi przedstawicieli prasy katolickiej całej Polski. Zebrani wysłuchali kilku referatów i prowadzili bardzo ożywione rozprawy nad każdem z poruszanych zagadnień. Czuło się doskonale, że wszystkim leży na sercu sprawa katolickich pism i katolickich wydawnictw, że wszyscy rozumieją, jak ta sprawa jest dla nas doniosła i że koniecznie należy przeprowadzić organizacyę prasy naszej. Zjazd dał pierwszą podnietę do tego, zrobił pierwszy krok. Praktycznym wynikiem obrad było rozszerzenie działalności „Towarzy-

stwa dla popierania prasy katolickiej" na całą Polskę i wybranie komitetu, mającego na celu przygotowanie podobnych zjazdów na przyszłość i podjęcie pracy nad połączeniem sił katolickich, zajętych w dziennikarstwie, w jedną organizacyę. Obecny był na zjeździe Książę Biskup Sapieha, który w przemówieniu swojem, skierowanem do zebranych redaktorów, położył nacisk na to, że prasa ma u nas większe znaczenie, niż gdziciındziej. Ma ona bowiem u nas wychowywać społeczeństwo w potrójnym kierunku: religijnym, patryotycznym i kulturalnym. Jesteśmy katolikami, ale nasz katolicyzm jest trochę mętny, prądy antykościelne są u nas silne, należy więc w pismach i wydawnictwach pracować nad pogłębieniem znajomości Kościoła i wiary i nad religijnością społeczeństwa. W kierunku patryotycznym powinna prasa działać, bo u nas dużo się mówi o miłości ojczyzny, ale tej miłości brak w czynie. Bo wprawdzie mamy dzielne i bohaterskie wojsko, które ofiarnie daje krew za Polskę, ale gdy dziś Polska powstała, widzimy, jak cały legion rozmaitych ludzi zleciał się do Warszawy po to, aby zyskać coś, aby jaknajwięcej ojczyznę złupić. Wreszcie brak nam prawdziwej kultury, zdarzają się u nas ruchy dzikie, napady i pogromy, nie zagasł także bolszewizm. Bolszewizm możemy zdusić i zwyciężyć tylko przez głęboką kulturę społeczeństwa. Bolszewizm jest wrogiem kultury, zniszczyć go można tylko kulturą — tu więc jest wielkie pole działania dla prasy katolickiej.

Czwarty dzień, środa 10 września, poświęcony był odrębnemu zjazdowi. Mamy w dyecezyi krakowskiej wiele stowarzyszeń młodzieży męskiej. Wszystkie te stowarzyszenia tworzą jeden związek dyecezyalny. Zjechali do Krakowa młodzi delegaci stowarzyszeń, aby się razem naradzić, poznać swe siły i zachęcić do pracy. Przemawiali do młodzieży ks. prof. Piwowarczyk z Krakowa, poseł Gdyk z Warszawy i ks. Paryś, proboszcz z Liszek, dając im wskazówki odpowiednie i ucząc, jak prowadzić pracę w stowarzyszeniach i jak postępować, by spełnić obowiązek młodzieńca w czasach dzisiejszych. Książę Biskup Sapieha w przepięknych słowach porównywał chłopców stowarzyszonych do armii, która ma walczyć ze złem. Chłopcy niektórzy zabierali głos, a widać było z ich przemówień, że sprawę biorą poważnie i że swój związek kochają. Zjazd wypadł imponująco, owoców przyniesie zapewne bardzo wiele. Stowarzyszenia takie tworzą się dzisiaj po całej Polsce — da Bóg, że dożyjemy chwili, gdy młodzi nasi stowarzyszeni będą tworzyli armię, liczącą już nie kilka, ale kilkadziesiąt i kilkaset tysięcy członków. We wszystkich tych zjazdach i obradach przebijała ta główna myśl: katolicy łączmy się dla wspólnej pracy.

Kilka uwag w sprawie żydowskiej.

Znam jednego żyda. Ma dzisiaj wspaniały sklep bławatny, największy i najbogatszy w całem miasteczku. Bogacz, pan całą gębą. Starsi ludzie opowiadają, że kilkanaście lat przedtem był to biedak, prawie włóczęga, ślepy na jedno oko, który chodził po domach i sprzedawał igły, szpilki i nici. Po kilkunastu latach dorobił się wielkiego majątku, niktby go nie poznał, tak się zmienił. Tylko ślepe jedno oko zdradza, że to ten sam. Kto mu dopomógł do zbogacenia się? Katolicy. W jaki sposób mu pomogli? Kupowali od niego, dawali się naciągać, nie postarali się o stworzenie jakiego sklepiku bławatnego w mieście. Nieudolnością i lenistwem swojem sprawili, że dziś miasto jest w szponach tego kupca-żyda. Czemu nie znalazł się ani jeden katolik, któryby targował towarem bławatnym? czemu kupiec katolik nie ogranicza się w potrzebach, tak, jak ten żyd się ograniczał, by dojść do majątku? Czemu kupiec katolik nie sprzedaje tak tanio, jak żyd, aby wytrzymać jego konkurencyę? Czemu?

Znam inne miasteczko i wieś. Byłem tam kilkanaście lat temu; znałem rozmaitych żydków, co mieli sklepy i karczmy. Pamiętam, że domki ich były liche, sklepiki marne, prawie chylące się ku upadkowi. Dziś tam zaglądam czasem i widzę zupełnie co innego. Jeden z nich sklep swój zupełnie przerobił i powiększył, a zaraz przy sklepie postawił sobie dużą kamienicę. Jest panem całą gębą. Drugi, co miał karczmę, słynną karczmę na miasto i wsi pobliskie, dokonał tego samego. Jest dzisiaj panem i karczmy i właścicielem dużego, murowanego domu. Zbogacił się na pijaństwie katolików, którzy nie widzieli świata

poza jego karczmiskiem, garnęli się do niego, a on w oczy im basował, ale w duszy pewnie nimi gardził.

Znam jeszcze inny wypadek, który miał miejsce w tej samej wiosce. Wypadek bardzo bolesny. Żył tam silny i bogaty gospodarz, mający około 30 morgów ziemi wraz z całem zabudowaniem gospodarskiem. Gospodarz ten umarł w podeszłym wieku, a grunt podzielił między swych synów. Część wioski, w której miał swój majątek, była stąd szczęśliwa, że na parę kilometrów dokoła nie było żyda. Katolik mieszkał przy katoliku. Byli niektórzy dumni z tego. I oto, co się najlepszego dzieje? Jeden ze synów zapragnął mieć karczmę w pobliżu, „bo to człowiek czasem spragniony, więcby się wyleciało co przepić, pogwarzyć z drugimi i użyć sobie". Pijaczyna, obrzydliwiec. Wnet znalazł się żyd, który sobie na jego gruncie postawił bogatą karczmę, a dziś jest już w posiadaniu połowy domu swego sąsiada, z którym na dobitek prowadzi spory i sądy. Oto tak się spisują Polacy i katolicy. I pracuj nad nimi i ucz ich i targaj siły nadaremnie. Zginiemy wszyscy, pójdziemy z torbami, będziemy parobkami żydowskimi, jeśli tak nadal postępować będziemy. To wstyd! wstyd, żeśmy tacy głupi. To grzech narodowy, żeśmy tacy ciemni.

Nie bić nam żydów, nie rabować, nie napastować! Dać im spokój. Niech sobie żyją dla siebie, żyd dla żyda. Niech sobie kupują u siebie i handlują dla siebie, niech żyd służy u żyda, niech żydówka mamczy żydowskie dziecko. Ale nie katolik! na miły Bóg, niech tego nie robi katolik! Nie chodźmy do karczmy żydowskiej i do żydowskiego sklepu. Nie sprzedajmy nic żydom. Żyd żydowi zawsze taniej sprzedaje towar, a katolika obdziera. Dla żyda drożmy się, a katolikom sprzedajmy tanio. Twórzmy sklepy i składnice towarowe, oświecajmy się, czytajmy, pogłębiajmy u siebie uczucie religijne, katolickie. A zwyciężymy żydów i dokonamy, że zdziadzieją i przeniosą się do Palestyny.

Czy zapisałeś się już do „Towarzystwa popierania prasy i wydawnictw katolickich"? Możesz to uczynić, przesyłając wkładkę roczną 2 korony pod adresem biura „Tow. pop. prasy katol.", Kraków, plac Maryacki 1. 2.

Między chłopem a panem.

Między chłopem a panem była kiedyś przepaść.

I choć ta przepaść prawnie i istotnie już dawno zasypana, ciągle jeszcze pokutuje duch przeszłości, jak widmo jakie i straszak.

Nie wieleby chodziło o tego straszaka, aniby komu przychodziło na myśl bić się z nim słowem, czy piórem. Ale to widmo nie tylko „tłucze się" wśród nas, ale psuje bardzo dużo, podgryza najuczciwszą robotę, jaką się tu i owdzie poczyna — i dzieli ludzi.

A u nas w Polsce nie może być nic gorszego, niż podziały.

Podział Ojczyzny naszej, zwany rozbiorami, był jednem wielkiem, ogólnem nieszczęściem, którego skutki odczuwamy tak przykro jeszcze ciągle.

Podział na rozliczne partye utrudnia i tamuje pracę dla dobra Ojczyzny. Ale najgorszy jest podział na klasy w społeczeństwie, jak ten np. na panów i chłopów, głoszony po wsiach i siejący rozgoryczenie, kwasy i niechęć.

Ten podział z jego skutkami trzeba znieść! Nie w tem znaczeniu, jakoby mógł istnieć kiedy taki stan społeczeństwa, by nie było tych, których zapaleńcy wiejscy nazywają z nienawiścią, niechęcią i uprzedzeniem: „panami". Ale trzeba się przyglądnąć temu pańskiemu straszakowi spokojnie i pogodzić się z nim.

Na seryo — pogodzić się!

Na drodze do tej zgody upragnionej leży przedewszystkiem jedna wielka zapora, jak kłoda jaka — uprzedzenie.

Jakie uprzedzenie? A no, uprzednio, zanim się chłop do „pana" zbliży, a „pan" do chłopa, już sobie nie ufają, już jeden drugiego ocenia i sądzi bez odwołania.

To jest źle. I to wszystko psuje.

I tu zaraz Wam, bracia-chłopi, przypomnę, że ci panowie, chodzący w surdutach, do których macie takie uprzedzenie uparte, to przeważnie: synowie chłopscy. A wy nie chcecie tego uznać.

Cóż się odmienił ten chłop, co mu w szkołach w głowie rozjaśnili, a potem zwyczaj przebrał go w surdut, czy mundur?

Ale są przecie tacy panowie, co w mieście się rodzili, pańskich mieli rodziców, jak powiadacie.

Wielu z nich jednak pochodzi z mieszczaństwa i nie wiele odbiegło od chłopskiej chałupy w znacznej mierze.

Zostaje bardzo maleńki odsetek panów z rodu, którzy, choć odbiegli zwyczajami i życiem całem daleko od Waszej strzechy, ale nie rodzili się Waszymi wrogami, broń Boże!

Z wszystkimi tymi „panami" na jednej możecie się spotkać drodze, na drodze wspólnej pra-

cy i jedna na tę drogę wiedzie furtka: zaufanie wzajemne. A droga ta do jednego prowadzi celu: dobra wspólnej Matki-Ojczyzny!

I nie myślcie, że chcę Wam tylko, bracia-chłopi, jakieś kazanie prawić.

Powiedziałem, że i pan ma do chłopa uprzedzenie i tego nie cofam. Jest tego uprzedzenia sporo i po tamtej stronie. Ale sumienie każe mi głośno oświadczyć, że więcej go jest u Was, jak u „panów“.

I nie myślę bronić panów. Stoję sobie, jako mieszczanin, między panem i chłopem i zgody całem sercem pragnę.

Stykałem się z panami, stykałem się jeszcze więcej z chłopami i choć młody jestem i doświadczenia nie mam całych worków, twierdzę śmiało, że do tej zgody może przyjść i przyjdzie wnet: na drodze wspólnej pracy.

Prawo nigdzie, Wam bracia-chłopi, nie tamuje wstępu. Wszędzie spotykacie się z panami, jako równi z równymi. W urzędzie, w sądzie, w sejmie, w rządzie!

Tylko niech między Wami nie staje jak upiór jaki uprzedzenie, ale niech Wam ręce wiąże wspólny warsztat pracy!

Na wsi i w mieście niech ręka pańska i chłopska ima się wspólnej roboty narodowej!

Trzeba nam oświaty więcej! A więc niechże wzajemna współpraca pana i chłopa do oświecenia pomaga. W czytelni, w sali zebrań, przy dobrej książce i gazecie, niech topnieją lody uprzedzenia!

Handlu swojskiego nam trzeba! Niechże pan radzi, a chłop prowadzi! Pomoc wzajemna, wspólna korzyść, wspólne widoki powodzenia na przyszłość spalą przegrodę wybudowaną z uprzedzenia. Runie ta ściana obrzydliwa, na której tylo się zapisało niedorzeczności, nad którą tyle się zmarnowało sił chłopskich i pańskich.

Uświadomienia politycznego nam trzeba, bo gazdujemy na swoich śmieciach, w swojem własnem państwie. Trzeba wiedzieć, czego się trzymać, by narodowi całemu nie zaszkodzić. I tu szczególnie trzeba miłości i zgody! Niechże panowie dadzą dowody, że wspólne dobro leży im na sercu! Ale niechże i chłopi nie kierują się uprzedzeniem i nie potępiają tego, czego nie rozumieją! Niech zechcą zrozumieć i przyznać, że pod surdutem, pod tą czarną przyodziewą, bije serce oddane chłopu, bardzo często, a nie tylko: wyjątkowo!

I tak wszędzie, na każdem polu pracy: razem! Praca dla Ojczyzny pogodzi nas na stałe i uświęci tę zgodę.

* * *

Jestem strasznie czarno ubrany, bo po same kostki, ale chłopów mam głęboko w sercu i życzę im dobrze, jak najlepiej, lepiej niż najpierwszy ludowiec. A gdybyście mi serce rozdarli, świeciłaby się także w niem bielą świąteczną góralska cucha i płócienica mazurska...

I powiedźcie teraz: przychodzi mi taki „nieprzyjaciel panów“ i mierząc szyderczo „czarnego“, rzuca mi w oczy: „wróg!“.

Czy nie robi mi strasznej krzywdy?

Nie czyńmy sobie wzajemnie krzywdy i pamiętajmy o tem mądrem zdaniu angielskiego pisarza: „Uprzedzenie to dzikie zielę, rozrasta się szybko i najczęściej tam, gdzie całkiem jest zbyteczne.

Ks. Henryk Weryński.

Zwolnieni.

Stała ich gromadka chroniąca się przed okiem publiczności w najgłębszym kącie dworca; za rupieciami stacyjnemi tuż przy płocie skuliło się kilku, oczy utkwili w szarym jak ich twarze piasku, na ich żółtych, opalonych twarzach osiadła jakaś tępość twarda, jakiś ból stłumiony gwałtownie. Pociągnęły mnie wyniszczone, obłazłe maciejówki, odbijające się melancholijnie w promieniach słońca. Zbliżyłem się do nich i stanąłem jak wryty — poznali mnie, zawołali — nieśmiało wyciągnęli do mnie ręce na powitanie — oczy spuścili ku ziemi, na twarzach ich wystąpiły jakieś rumiane wypieki wstydu — dumy człowieczej zdeptanej brutalnie, bezlitośnie. Wstydzili się swojego wyglądu — o bo ten wygląd był naprawdę pożałowania godny. Kilku boso, inni zaś mieli obuwie bez podeszew; zaś ich ubranie, to istne łachy żebracze.

— Cóż wy tu robicie — spytałem, zdumiony.

— Jesteśmy zwolnieni — rzekli — puszczono nas do domów, bośmy niepopisowi.

— Jakto, w takim ubraniu was puszczają?

— Ano trudno — taki podobno wyszedł rozkaz z Warszawy — objaśnił mnie jeden z rezygnacyą.

— Kiedyżeście wrócili z frontu? — byłem ciekawy.

— W zeszłym tygodniu zluzowali nas rekruci z Królestwa, rychło wczas, bo już teraz żadnych bitek niema — odpowiedział ze zgryźliwym uśmiechem mój dawny plutonowy.

— A czy wam nie żal opuszczać wojska? — pytałem, byle coś powiedzieć.

— Kiedy teraz już się nie idzie naprzód, niema już tam co robić, bo już niema dawnej wiary. Puścili nas, no to idziemy, tylko mogli nas najpierw posłać po wojskowemu do domu, bylibyśmy sobie przywieźli ubrania cywilne, a tak musimy odjeżdżać boso, jak ten pies ostatni — żalili się gorzko, usta im nerwowo drgały, a w oczach

lśniły łzy. Nie pytałem już więcej — chciałem im tłumaczyć, uśmierzyć ich gorycz, ale jakie blade bezsilne były słowa moje wobec tej rażącej krzywdy, jaką im płacono za ich wielką ofiarność, za nieustraszone męstwo.

O, Polsko — więc ty tak nagradzasz najlepszych swoich synów, którzy w najcięższych chwilach ochotnie pospieszyli, by piersią własną odeprzeć dzicz barbarzyńską z Twoich granic, — ó, Polsko, Twoje wschodnie kresy płoną łuną pożarną — a ty nie przyjmujesz ofiarnych usług doświadczonych bojowników, lecz puszczasz ich boso z goryczą w sercach, z zachwianą wiarą w młodych duszach orlich, które są zdolne do najwyższego lotu dla imienia twego i dla chwały twojej. O Polsko, ty nie chcesz być matką, ale macochą. — Przed oczyma memi stanął mi ich obraz nigdy niezapomniany z chwil najpiękniejszych, jakie przeżyliśmy wspólnie w ojczyźnie wolnej, której utwierdzaliśmy granice wschodnie własnemi piersiami.

O jakże byli wielcy i piękni w tym boju krwawym, idąc na armaty wroga, jak do tańca, zawsze pełni animuszu, pogardą śmierci, „jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec". — A teraz tych zwycięzców z pod Domaszowa, Ostobuża, Bruckentalu, Magierowa, Dobrosina, Kamionki, Krasnego, Gaików, Radziwiłłowa i tylu innych miejscowości, jakże nagrodzono?

Po dworcu spacerowały bogato przystrojone panie, — hoże, szczęśliwe, kwitnące, dochodzące do owej grupki, poglądały z dziwnym grymasem, ledwie nie z pogardą na garstkę obdartusów.

Czy wy się domyślacie, piękne panie, że to wasi obrońce, że oni spełnili największy czyn dla was, że ich piersi były wałem obronnym, za którym było wam żyć bezpiecznie?

Jeden wasz uśmiech życzliwy byłby im może ojczyzny zapłatą, możeby ten uśmiech osłodził im gorycz, z jaką wracają w zacisza domowe, by w zapomnieniu od świata czekać na chwilę powołania do nowego czynu. — Stałem przy nich niemy, zadumany, wydobywając z pamięci piękne chwile, pełne chwały. Pojęli mnie, myśli ich z mojemi zwierały się jak siostry, jeden po drugim zaczął wspominać razem przeżyte dzieje, czułem, że wspomnienia napawają ich serca dumą. Nadszedł pociąg. Ciężkie było rozstanie. Pożegnałem ich z żalem. W pociągu poczęli śpiewać mocnym, dźwięcznym głosem ulubioną naszą Rotę, a gdy lokomotywa zacharczała i pociąg ruszył, pieśń „zwolnionych" brzmiała głośno, potężnie, jakby pobudka do nowego czynu. Kilku wychyliło się z okien, powiewali maciejówkami, wołając: „Do widzenia na Śląsku"! Na taką zapowiedź rozośmiały się oczy moje radością, w sercu uczułem taki napiyw miłości dla podhalańskich zuchów, żebym im ręce całował z wdzięczności.

O nigdy was nie zapomnę wielcy duchem, szlachetni żołnierze moi!!!

J. **Massont**, podporucznik.

O! pójdźcie do mnie...

O, pójdźcie do mnie, wy, którzy cierpicie,
O, pójdźcie do mnie smutni i stroskani,
Ja wiekuiste otworzę wam życie
I czystych z ziemskiej wywiodę otchłani.

Choć ból za bólem waszą pierś przewierci,
Choć sroga żałość dogoni was wszędzie,
Kto zemną żyje — wolen jest od śmierci,
Kto zemną żyje — ten żyw w śmierci będzie!

Za nic męczeństwa nieprzebrane zdroje,
Za nic trująca udręczenia czara,
Wy jeno patrzcie w krwawe serce moje
I mówcie sobie: Miłość i ofiara!

A zaś wypłyną na błękit anieli,
Nucąc „Hosanna" i grając na lutni...
I do mych niebios wnijdziecie weseli,
Wy, coście trwożni i wy, coście smutni.

Artur Oppman.

O kongres eucharystyczny w Polsce.

Czytaliśmy o słynnych, wszechświatowych kongresach eucharystycznych, jakie odbywały się przed wojną. Brali w nich udział katolicy całego świata, urządzali olbrzymie procesye z N. Sakramentem i zapalali się w ten sposób głębszą wiarą i drugich do wiary pobudzali. Wojna usunęła i uniemożliwiła wiele rzeczy, uniemożliwiła także kongresy. A przecież, skoro jeno warunki pomyślniej się ułożą, kongresy wrócą, wrócić muszą. — Ostatni kongres eucharystyczny odbył się w r. 1914 w Lurd w południowej Francyi. Kongres ten skończył się wielką procesyą w dniu 29 lipca, w tym samym dniu, w którym wybuchła światowa, straszna wojna. Polacy, co brali udział w kongresie, nawet nie przeczuwali, że wojna przeniesie się do Polski i że doczekają się rychło zmartwychwstania Ojczyzny.

Polska powstała. Potrzeba jakiegoś wyrazu dla okazania Panu Bogu wdzięczności za to, że nas „powrócił na Ojczyzny łono". Sądzimy, że najlepszym wyrazem będzie urządzenie kongresu eucharystycznego w Polsce. Polacy, biorący u-

dział na ostatnim kongresie w Lurd, podnosili myśl, że trzeba urządzić kongres u nas, np. w Częstochowie. Tembardziej potrzeba taka okazuje się dziś, gdy już jesteśmy wolni. Będzie to dziękczynienie za wskrzeszenie Polski. Mojem zdaniem powinien się ten kongres odbyć w Częstochowie, bo Częstochowa to nasze polskie Lurd.

Ks. N. N.

Od siebie dodajemy, że w Krakowie była już przed kilku miesiącami poruszana myśl kongresu czy pielgrzymki całego narodu polskiego do jasnogórskiego klasztoru. Myśl ta wyszła od generała Hallera — jeszcze wtenczas, gdy był zagranicą i nie mógł przybyć do nas. Na razie jest myśl ta niemożliwa do przeprowadzenia z powodu obecnych, powojennych warunków, ale sądzimy, że zamiar ten nie przestanie kiełkować i doczekamy się chwili, że całym, olbrzymim narodowym tłumem pójdziemy do Częstochowy podziękować za Polskę. A może komitet połączy z tem — kongres eucharystyczny wszechświatowy?

Redakcya.

W obronie N. Sakramentu.

Jednego razu pod wieczór — weszłam do kościoła w pewnem małem miasteczku. Weszłam i doznałam jakby zawrotu głowy. Ludzi było moc, cisnęli się wszyscy ku ołtarzowi, wyzierali przez drzwi na pole, skąd miały przybyć weselne pary i prowadzili ożywione rozmowy. Jakby to nie był kościół, jakby to nie była świątynia, Bogu poświęcona, jakby to nie był dom, w którym przebywa w utajeniu sam Pan Jezus, ale jakaś bóżnica żydowska. Ścisnęło mi się serce, gdy na to wszystko patrzyłam. Ludzie ci nic a nic nie zważają na obecność sakramentalną Boga, zachowują się bezczelnie, krzywdzą Chrystusa Pana. Gdyby tak Pan Jezus zstąpił z przybytku sakramentalnego i stanął pomiędzy tymi ludźmi, to zdaje mi się, że wziąłby kij lub jaki bicz i wygnał wszystkich precz tak, jak to uczynił niegdyś, oburzony, iż z domu Ojca Jego, z domu modlitwy ludzie uczynili sobie jaskinię zbójców. Mnie się zdaje, że ludzi tych, co znieważyli kiedy Najśw. Sakrament, Bóg będzie bardzo surowo karał. Błog. Małgorzacie skarżył się Pan Jezus, pokazując zranione serce, iż od ludzi doznaje tylko niewdzięczności i widzi w nich tylko obojętność. Ta skarga Jezusowa przypomniała mi się, gdy widziałam ten hałas w kościele — i postanowiłam napisać o tem do „Siewu“, aby zwrócić ludziom uwagę na niewłaściwe zachowanie się. Jesteśmy katolicy, żyjmy tak, jak nam nakazuje wiara.

Czytelniczka.

„Ruszaj z Bogiem“.

Przyszedł ktoś kiedyś i stanął pod progiem,
Mówiąc: „Bez chleba dziś jestem!...“
Lecz odrzeczono mu słowem i gestem:
„Ruszajże z Bogiem!“

Więc dalej ruszył po takiej nauce,
Westchnąwszy w sobie:
„Zaprawdę nie wiem, co teraz już zrobię,
Lecz tu nie wrócę..

I lata przeszły, chleb znowu był tanim —
Raz, księdza w drodze spotyka,
Który szedł z Bogiem do paralityka;
Rusza on za nim.

Idzie a drogę wskazują im wprawni
Ludzie (bo duża parafia),
A oto patrzy, że w miejsce utrafia,
Gdzie żebrał dawniej...

Więc nie wszedł w dom ów, tylko kląkł na progu,
Wołając: Wszechmocny Panie!
Zmiłuj się nad nim, może nie był w stanie,
Któż równy Bogu?...

Nie powiem dalej, bo może przelęknę,
To tylko nadmienię jeszcze,
Że nie zmyślili sobie tego wieszcze,
Bo zbyt jest piękne! — *Cypryan Norwid.*

Jak przytłumić zazdrość u dzieci?

Zazdrosny człowiek smuci się z powodzenia bliźniego, a cieszy się z jego niepowodzenia. Zdaje mu się, że gdy drugi ma więcej, albo mu się powodzi lepiej, to on na tem jakąś szkodę ponosi. Niepowodzenie bliźniego napełnia serce zazdrosnego zadowoleniem, bo niepowodzenie bliźniego przedstawia mu się jako własne powodzenie. W istocie rzeczy wcale tak nie jest.

Zazdrość to prawdziwie szatańska wada ludzka. Jak robak główkę kapusty, tak zazdrosny gryzie samego siebie.

Chrześcijanin jest dla każdego życzliwy. Nawet swemu wrogowi powodzenia nie zazdrości. Jak słońce z rozkazu Bożego wszystkim, dobrym i złym, zarówno świeci, a deszcz na wszystkich jednako pada, tak życzliwy człowiek obejmuje swem sercem wszystkich, naśladując w tem swego Ojca niebieskiego.

Jeżeli Opatrzność Boska jednemu daje, a drugiemu nie; jednego szczęściem darzy, a drugiego smutkiem i niedolą doświadcza, to z pewnością ma w tem swoje dobre zamiary i nie czyni tak na złość ludziom, ale dla ich dobra.

Takie przekonanie trzeba wyrabiać w umysłach dzieci. I między dziećmi zdarzają się nieraz zazdrosne. Gdy jedno dostanie od matki więcej, albo co lepszego do jedzenia, gdy rodzice sprawią jednemu lepsze albo piękniejsze ubranie niż drugiemu, to zazdrość wnet się pokaże. Dziecko, które się upośledzone czuje, zaczyna się gniewać, albo płakać.

Matka je uspokaja i daje mu zaraz więcej, albo też obiecuje mu coś na to miejsce, a tymczasem to jest nieroztropnie.

Matce lub ojcu wolno dać jednemu dziecku więcej niż drugiemu, wolno mu dać coś lepszego, a dzieci mają wszystko z zadowoleniem przyjąć.

Na łzy dziecka, które z jego oczu wyciska zazdrość, matka niech wcale nie zważa, a jeszcze lepiej, niech je przytłumia surowo i na takie gniewy dziecka niech nie pozwala.

Brzydkim objawem zazdrości u dzieci byłoby to, gdyby jedno cieszyło się, że drugie zostało ukarane. I na to nie zezwoli matka. Przeciwnie, matka niech nakłania dzieci, aby jedno drugiemu użyczało z tego, co dostanie; aby jedno drugiemu pomagało; aby jedno dla drugiego chętnie jakąś ofiarę poniosło.

Ale też roztropna matka ma dla wszystkich jedno kochające serce. Jednego dziecka nie wywyższa ponad drugie; jednego ciągle nie chwali, a drugiego nie gani; słowem, roztropna matka nie ma między dziećmi Benjaminków, czyli ulubieńców. Chyba temu dziecku może matka okazywać więcej miłości i to większą opieką otaczać, które jest od natury więcej upośledzone. W przeciwnym razie zasiewa w sercach dzieci uczucie zazdrości i nienawiści.

Tak nieraz postępują matki albo ojcowie, gdy chodzi o dzieci przybrane. Ojczyma i macochę nazywają w tutejszych stronach zimnym ojcem i zimną matką. Ale też naprawdę zimni to ojcowie częstokroć. Jakże nieszczęśliwemi czują się dzieci przybrane, gdy ich taki zimny ojciec lub matka nigdy nie obdarzy dobrem słowem, nigdy nie pokaże im odrobiny macierzyńskiego serca, nawet nigdy łaskawem okiem na nie nie spojrzy. Całą miłość zlewa na własne dzieci, Czyż w tak upośledzonych i wzgardzonych dzieciach nie rozbudzi się zazdrość, nienawiść, kłótliwość? Czy takie postępowanie nie zburzy zgody rodzinnej nietylko między przybranemi a własnemi dziećmi, ale także między rodzicem a przybraną matką?

Gdy się spali bogatemu człowiekowi dom we wsi, ojciec lub matka mówią wobec dzieci: „Dobrze się bogaczowi stało". Gdy mu padło bydlę, tacy zazdrośni mówią: „Nie na biednego trafiło". Gdy padnie na bogatszego choroba, mówią zazdrośni: „No, no, ma dość pieniędzy na doktorów, to może leżeć". To wszystko dzieci słyszą i uczą się uważać nieszczęście bliźniego za coś korzystnego dla siebie, zamiast smucić się ze smutnymi i płakać z płaczącymi, one raczej uczą się postępować odwrotnie.

Mistrzami w rozbudzaniu zazdrości w sercach innych są nasi socyaliści. Oni ciągle wskazują na innych, że nic nie robią, że się pracą innych tuczą, że obfitują we wszystko, a znowu swoim ludziom przedstawiają jak są bardzo upośledzeni, jak krzywdzeni i jak nieszczęśliwi. Tak niech rodzice wobec swych dzieci nie postępują, bo serca ich zatrują goryczą, obrzydzą im życie i odbiorą szczęście, na siebie zaś ściągną odpowiedzialność za złe wychowanie dzieci.

Modlitwa Różańcowa.

Wszystko na świecie jest znikome i chwiejne. Dzieło ludzkie, choćby nie wiem jak doskonałe, nosi w sobie zaród śmierci. Nikt może tyle nie poznał tej prawdy, co my w okresie światowej wojny. Wielkości ziemskie, trony i korony złote, państwa i wielkie monarchie — runęły, upadły i dziś ich niemasz. Należą do przeszłości. Przyszły nowe formy rządów, przyszły po różnych państwach różne reformy agrarne. Zaspokoją one ludzi tylko do czasu, potem znowu trzeba będzie zmian i reform, aby ułatwić ludziom warunki życia. I tak będzie na ziemi zawsze — nic niemasz trwałego pod słońcem.

A przecież jest jedna rzecz trwała. Niezmienny i zawsze ten sam jest nasz stosunek do Boga, jako stworzeń do Stwórcy. Nigdy zmienić się nie może to, że Boga potrzebujemy, że bez Boga żyć nie możemy i że do Boga zwracać się winniśmy z modlitwą. Modlitwa, rozmowa z Bogiem — to jest rzecz wieczna, tak jak wieczny jest Bóg i jak nieśmiertelna jest dusza nasza. Stąd w modlitwie jest ogrom wielkości i majestatu, stąd do modlitwy powinniśmy się zabierać z powagą i namaszczeniem. Biada temu, kto modlitwę lekceważy, biada człowiekowi, który nie odczuwa potrzeby modlitwy przynajmniej co pewien czas.

Kościół nie przestanie nigdy zachęcać swych wiernych do modlitwy. Jak wzywał do niej przed wiekami, tak wzywa do niej dziś, tak wzywać do niej będzie do końca świata, Siła Kościoła Chrystusowego płynie nie z majątków i nie z pieniędzy, ale z modlitwy i z ducha. Modlitwa wyrabia w nas ducha, pogłębia go i podnosi ku Bogu. Czyni to każda modlitwa, czyni to także modlitwa różań-

cowa. Działanie różańca jest pod tym względem o tyle wydatniejsze i skuteczniejsze, że różaniec z istoty swej jest modlitwą myślną, skłaniającą nas do rozważania życia Jezusa i Maryi. Do różańca zachęca nas Kościół, zwłaszcza w październiku, który to miesiąc poświęcony jest czci Matki Boskiej Różańcowej. Idźmy za wezwaniem Kościoła, weźmy różaniec do rąk i mówmy do Maryi: Zdrowaś Maryo...

Mówmy te modlitewne, piękne słowa tem bardziej, że przez wojnę ludzie ogromnie się popsuli. Zjawiskiem, przez które wyziera ku nam chory, zgangrenowany świat, jest bolszewizm. Żyje ten bolszewizm na północy w ciemnej Rosyi, ale nie łudźmy się... i u nas czai się on po kątach, bałamuci lud i czyha tylko na dogodną sposobność. Prowadzony przez żydów zwraca się bolszewizm w pierwszym rzędzie przeciw chrześcijaństwu. — Winniśmy bolszewizmowi stawić silny opór — ale jak? Oto przez wyrabianie i pogłębianie w sobie ducha chrześcijańskiego. Tylko duch chrześcijański potrafi złamać widmo bolszewizmu i uleczyć chorą ludzkość. Ale tego ducha nie będziemy mieli bez modlitwy. A więc módlmy się. A więc odmawiajmy modlitwę różańcową. Podnośmy oczy ku niebu i trzymając w rękach cząstkę różańca wymawiajmy ze skupieniem: Zdrowaś Maryo...

Ludzkość dziś upadła wskutek wojny. W kraju grasuje paskarstwo, złodziejstwo, rabunki, mordy nawet, obrzydliwe lenistwo, każdy szuka jak najwięcej pieniędzy bez zarobku — słowem wszelkie zło podnosi głowę u nas i gdzieindziej. Zło to upadnie tylko wtenczas, gdy będzie coraz więcej ludzi o prawdziwie chrześcijańskiem sumieniu. Potrzeba nam dziś ludzi sumienia. Dziś, kiedy świat zatraca coraz więcej sumienie — i u siebie i u drugich. Tylko sumienie chrześcijańskie podnieść może Polskę ku wyżynom. To sumienie trzeba urabiać, budzić. Jak? Znowu przez modlitwę. W październiku niech pracy tej podejmuje się modlitwa różańcowa. Trzeba tylko, byśmy to rozumieli, byśmy to czuli. Nie zaniedbujmy tego ratunku czasów dzisiejszych. Czytajmy koronkę i polecajmy jej skołatane społeczeństwo. Niech dusza nasza w tym miesiącu wznosi się ku niebu tem cichem, serdecznem, różańcowem: Zdrowaś Marya...

Św. Łukasz, Ewangelista.

(18 października).

Był św. Łukasz początkowo poganinem i pochodził z Antyochii w Syryi. Chrystusa samego nie znał ani nie widział na swe oczy. Żył daleko od terenu, na którym działał Zbawiciel. Nie słyszał Jego wielkich, pełnych potęgi i niebieskiej mocy kazań, nie widział Jego nadzwyczajnych cudów, nie był świadkiem Jego bolesnej męki, nie patrzył na Niego po Jego zmartwychwstaniu, nie odprowadzał Go na Górę Oliwną — Górę Wniebowstąpienia. Nie był wcale Apostołem, tylko uczniem.

Skoro bowiem nauka Chrystusa, odrzucona przez żydów, przeszła do pogan i szerzyć się wśród nich poczęła gwałtownie; kiedy nauka ta rychło dotarła do Antyochii, gdzie nawet utworzyła się gmina chrześcijańska, poznał ją Łukasz, przyjął ją, dał się ochrzcić i stał się gorliwym jej wyznawcą. Zetknął się z apostołem Pawłem, przystał do niego i stał się zapalonym jego uczniem. Wiadomo, że Paweł czynił podróże do krajów, w których kiedy przebywał i w których miał wyznawców chrześcijańskiej wiary. Podróże takie czynił trzy. Otóż drugą z nich odbywał właśnie z św. Łukaszem. Kiedy w czasie tej podróży dotarli obaj do Macedonii, do miasta Filippi, Łukasz pozostał w tem mieście i z ramienia św. Pawła pracował nad nawróconymi chrześcijanami. Po upływie lat siedmiu przyłączył się znowu do Pawła i był nieodłącznym jego towarzyszem aż do śmierci tegoż Apostoła. Bawił ze św. Pawłem w Rzymie i tu w Rzymie pod okiem Pawła, może za jego zachętą, napisał ewangelię i Dzieje Apostolskie około 61—62 r. Umarł, jako starzec; o śmierci jego pewnych wiadomości nie posiadamy.

Ponieważ sam Chrystusa nie znał i nie widział, przeto ewangelię swoją oparł na tem, co mu opowiadali śś. Paweł, Piotr i Jakób, oraz inne osoby, z któremi się zetknął, przedewszystkiem zaś N. P. Marya. Stąd to u niego tyle opowiadań o Matce Bożej, których inni ewangeliści zupełnie nie mają. Ewangelię swoją, czyli krótki żywot Pana Jezusa napisał po grecku. Był to bowiem język najwięcej wówczas w cywilizowanym świecie rozpowszechniony. Kiedy pierwszy z ewangelistów, Mateusz pisał swą ewangelię dla tych chrześcijan, co się nawrócili z żydowstwa, to Łukasz miał na oku chrześcijan, nawróconych z pogaństwa. Dlatego też, kiedy Mateusz kładzie wielki nacisk na to, że Pan Jezus jest rzeczywiście zapowiadanym przez proroków i przez stary Testament Messyaszem i że powinni go żydzi uznać, to Łukasz podkreśla co innego, a mianowicie, że Chrystus przyszedł nietylko dla żydów, lecz także dla pogan, że przyszedł dla wszystkich narodów i objawienie przyniósł całemu światu. Zaczął tylko to objawienie od żydów, bo chciał ich naprzód nawrócić, a potem przez nich nawrócić świat. Żydzi jednak łaski tej sami się pozbawili, odrzucając naukę Pana Jezusa — więc teraz nauka ta przyjmuje się u pogan.

Zaraz po napisaniu ewangelii zabrał się św. Łukasz do innej książki. Napisał „Dzieje Apostolskie“. Przedstawia w nich pierwsze początki

chrześcijaństwa, a opowiadanie swoje skupia około osób św. Piotra i Pawła. Z innych apostołów wspomina tylko o św. Janie i Jakóbie Mniejszym. Chciał Łukasz wykazać w tej książce, jak zmartwychwstały Chrystus z pomocą Ducha św. dalej dzieło swoje prowadzi i rozwija przez Kościół, przez Piotra i Pawła. Ponieważ żydzi i poganie stawiali chrześcijanom najniemożliwsze zarzuty i uważali ich za burzycieli porządku społecznego, „Dzieje Apostolskie“ miały znaczenie księgi obronnej, która przekonać miała świat pogański, że zarzuty, czynione chrześcijanom, są nieprawdziwe i że nauka chrześcijańska jest szlachetna i wzniosła.

Pisaliśmy zeszłego roku mniej więcej w tym samym czasie o ewangelii św. Mateusza i zachęcaliśmy przy tej sposobności do czytania religijnych książek i do czytania ewangelii. Do tego samego chcielibyśmy Czytelników naszych zachęcić także obecnie. Jesteśmy Chrześcijanami, powinniśmy zatem znać Chrystusa. A Chrystusa znikąd lepiej nie poznamy, jak z ewangelii. Jesteśmy chrześcijanami, ale wiara nasza osłabła, staliśmy się zimni, obojętni, jesteśmy chrześcijanami tylko w słowie, nie zaś w życiu i w czynie. Jeżeli chcemy żyć po chrześcijańsku, kupmy sobie ewangelie i czytajmy je często. Jesteśmy katolikami, ale kościoła katolickiego nie rozumiemy dobrze i nie kochamy; mamy jeszcze jakąś iskierkę czci dla religii, ale nie mamy jej dla Kościoła. Nie wiemy bowiem, że religii chrześcijańskiej bez Kościoła niemasz, bo Chrystus przyszedł zaszczepić nie jakąś ogólną religię, ale przyszedł założyć Kościół, społeczność religijną na ziemi. I znowu tego wszystkiego nie odczujemy bez ewangelii. A więc nie żałujmy parę koron na tę księgę ksiąg i czytajmy ewangelię.

O złej książce.

Jej szkodliwy wpływ na religijność!

O innym rodzaju książek dziś chciałbym pisać, o tych, które szerzą niedowiarstwo. Są, to rzadko grube tomowe dzieła, a najczęściej drobne, ulotne broszury, wydawane przez pewne towarzystwa, które sobie wzięły za cel burzyć i niszczyć królestwo wiary w świecie; zdarzają się także i poezye o tendencyi antyreligijnej lub także powieści. Ich wpływ jest nadzwyczaj szkodliwy. Czemu? Bo są jeszcze dziś ludzie przekonani, że co wydrukowano, to już prawda święta; wszak dla niektórych najzwyklejszy sennik lub kalendarz jest prawie wyrocznią. Ci czytając zarzuty stawiane religii katolickiej nie pomyślą: a czy też to prawda, tylko zostając pod ich wrażeniem, skłaniają się przyznać im słuszność, bo — tak napisano i wydrukowano. — Jest rzeczywiście coś nadzwyczajnego w działaniu złej, niereligijnej książki. Gdy na jakiemś zebraniu zacznie ktoś występować przeciw nauce katol. lub drwić sobie z niej, to obecni najczęściej protestują, każąc mu milczeć, wiedząc, że kłamie, że mówi przez niego nienawiść. Ale gdy tesame zarzuty wyczytają w książce, to zupełnie co innego: zaczynają myśleć, — a kto wie; może ja się dotąd myliłem, może Kościół się myli, albo i oszukuje nas! Skąd ta różnica w ocenianiu tychsamych zarzutów słyszanych i czytanych? Stąd że ludzie mało wykształceni mają przez szkołę wpojoną cześć, szacunek dla książki, dla słowa drukowanego; tyle się nasłuchali o wartości książki, że prawie nie przypuszczają, by mogły być wśród nich złe, przewrotne. A przecież — któż je pisuje? Człowiek omylny w mowie, jak pisaniu, człowiek, który potrafi kłamać słowem mówionem, jak i pisanem.

Nie pamiętają o tem ludzie, każda książka wydaje się mądrą, jej nauka prawdziwą; to też, jeśli to książka występująca przeciw wierze, pierwszym skutkiem jej przeczytania będzie powątpiewanie w uznawane dotąd prawdy wiary, a nieraz już wprost niedowiarstwo. Bo jej słowa padają powoli w duszę czytelnika, a ponieważ sprzeciwiają się dotychczasowym przekonaniom, wywołują ich osłabienie; natomiast podnosi się z początku słabe przypuszczenie: może dotąd byłem w błędzie, może się religia myli. Oczywiście, kto zostaje w wątpliwości, chce ją za wszelką cenę usunąć, a dojść do pewności. Gdyby to wtedy zechciał człowiek wątpiący przeczytać książkę religijną, poznać, co na zarzuty odpowiada katolicka teologia, toby mu owa niereligijna lektura pomogła do umocnienia cnoty wiary, lecz najczęściej chwyta się wtedy za inne niereligijne książki i w nich się szuka nie usunięcia wątpliwości, ale utwierdzenia w uprzedzeniach do religii, które potrafiła wsączyć w duszę zła książka. Z lat szkolnych przypominam sobie fakt następujący, który dowodzi prawdziwości moich słów: na jednej ze mną ławie siedział kolega, z którym mię serdeczna łączyła przyjaźń; byliśmy szczerymi przyjaciółmi, nie było między nami tajemnic. Otóż w niższem gimnazyum był ten mój kolega bardzo religijnym chłopcem, zawstydzał mię swoją pobożnością. — W wyższych jednak klasach zaczęło się zmieniać, w pobożnych praktykach ostygł, aż w końcu pewnego razu przyszedł do mnie i oświadczył mi: Wiesz co, — ja już przestałem wierzyć! — Na moją uwagę, że to niemożliwe, że takie duchowe przemiany nie dokonywują się w momencie, bo kwestyi religijnych nie da się objąć w jednym roku, ale na ich zbadanie ludzie całe lata poświęcają, on mi odpowiedział: — Tak, i mnie się zdaje, że zbyt szybko się zmieniłem, lecz niestety tak jest, a zrobiła to jedna książka, Niemca, Bölsche-

go, dowodząca, że człowiek pochodzi od małpy. — Tak mi wtedy powiedział i dziś nie widzę u niego chęci powrotu do wiary z lat młodych.

Oto przykład spustoszenia, jakie szerzy niereligijna książka. Czy myślicie, że to fakt odosobniony, że się to rzadko zdarza? Kto się z młodzieżą styka tak blisko i tak poufnie, jak ksiądz w konfesyonale, wie, że tych młodzieńców, których zła książka niedowiarkami uczyniła, jest wielu, więcej, niż przypuszczacie, — że książka niereligijna jest często w ręku naszej młodzieży. Pamiętam, jak może przed rokiem jedna dobra matka przyniosła mi książkę Schure'go p. t.: „Wielcy wtajemniczeni", bym o niej sąd wydał; powiedziała mi, że ją odebrała synowi, uczniowi gimnazyalnemu i że wśród kolegów jego klasy kursuje ona od kilku miesięcy. Przeczytałem ją i stwierdziłem, że jest trucizną młodych dusz; bo autor zaprzecza w niej prawdziwości naszej religii, twierdzi, że się religie rozwijają jedna z drugiej, doskonalą coraz więcej, że założyciele religii, jak Konfucyusz, Budda, Chrystus, Mahomet to „wielcy wtajemniczeni", którzy lepiej od innych znają zagadki człowieka, tworzą nowe religie, i że prawdziwej religii jeszcze niema, ona się dopiero tworzy, doskonali! Taka książka krąży jeszcze teraz wśród młodzieży. Jaki jej wpływ, łatwo można poznać już z tego, com o niej powiedział.

Przed stu przeszło laty żył we Francyi bezbożny pisarz, nazwiskiem Wolter. Nie pisał dzieł poważnych, wielkich, ale drobne utwory i w nich wyszydzał religię katolicką, a tak zatruł atmosferę nie tylko Francyi, ale całej Europy (jego dziełka jeszcze dziś w czasie wojny tłomaczą na polski język i rozszerzają). Upadek wiary we Francyi, walka z Kościołem tamże w w. XIX., zepsucie młodzieży — oto skutki jego pisarskiej działalności. W kilkadziesiąt lat po jego śmierci poznano przecież, ile złego ten człowiek zrobił: a poeta francuski, Musset, napisał wiersz, zaczynający się od słów: „Czy śpisz zadowolony, Wolterze?" Zaprawdę takby się należało pytać autorów, co niereligijne piszą książki: — Czyście zadowoleni z tego, żeście tylu ludziom wydarli ze serca jedynie wartościowy pogląd na życie, świat — wiarę, czyście zadowoleni, że szeregi młodzieży z waszej winy urąga religii swych ojców, — czyście zadowoleni, żeście w tysiącach serc zakłócili spokój, a posiali burzę, nieszczęście? J. P.

Dziecięca miłość i ofiara.

W pewnem wielkiem mieście odbywały się misye. Misyonarz mówił o wartości cierpień i wskazywał, że często przez cierpienia uzyskuje się łaski, których przez samą tylko modlitwę uzyskać nie można. „Jeżeli chcecie nawrócenia pewnej duszy", rzekł na końcu swej przemowy, „to módlcie się za nią, to jest dobrze; jednak jeżeli chcecie być pewni wysłuchania u Boga, to przyłączcie także do modlitwy jakieś umartwienie za tę duszę".

Te słowa wywarły głębokie wrażenie na pewnem dziecku, obecnem na tem kazaniu. Była to dziewczynka 12-letnia, imienia Marya. Ojciec jej oddawał się pijaństwu, co bardzo bolało matkę a dziecku wyciskało dużo łez. Gdy jednak owego wieczoru powróciła do domu, rzekła do matki:

— Matko, teraz nie będziesz już długo płakała; ja wiem teraz, jak można uzyskać nawrócenie ojca.

Zdziwiona spoglądała matka na swe dziecko, lecz Marynia zachowała tajemnicę dla siebie. Gdy dnia następnego zasiadła rodzina do stołu, zjadła dziewczynka tylko zupę i trochę chleba.

— Czyś chora, Maryniu? — spytała matka.

— Nie, matko.

— Dlaczego nie jesz? — zapytał ojciec.

— Już się nasyciłam — brzmiała nieśmiała odpowiedź. Ojciec myślał, że dziecko grymasi i nie zważał już na to. Wieczorem przybył, jak zawsze pijany do domu i hałasem swym zbudził dziecko.

Dnia następnego nie jadła Marynia nic na obiad prócz kawałka chleba z wodą. Matka smuciła się tem, ojciec się gniewał.

— Jedz obiad, głupia dziewczyno! — krzyknął ojciec.

— Nie będę jadła, ojcze — odpowiedziało dziecko spokojnie lecz stanowczo. — Przyrzekłam Panu Bogu, że będę się umartwiać, ile razy ojciec przyjdzie pijany do domu i matka płakać będzie.

Do żywego dotknięty spojrzał ojciec na dziecko; potem zamyślony spuścił głowę i w milczeniu zakończył się obiad. Idąc do pracy, myślał ciągle:

— Bogu obiecała! Bogu obiecała!

Wieczorem przyszedł trzeźwy do domu, a Marynia jadła następnego dnia obiad z apetytem. Od dawna nie było tak miłego obiadu w tym domu.

Niestety, radość nie trwała długo. Ojciec nie mógł pozbyć się nałogu i znów przychodzić zaczął pijany do domu. Teraz jednak bez hałasów kładł się spać. Dziecko mimo to dostrzegło zmianę i następnego dnia znów rozpoczęło dobrowolny post. Ojciec dostrzegł to i był bardzo wzruszony. Straszna walka wstrząsnęła jego duszą; matka płakała, dziecko pozostało jednak spokojne.

— Maryniu? — zapytał ojciec drżącemi usty, czy chcesz naprawdę tak dalej postępować?

— Tak — odpowiedziała stanowczo — dopóki nie umrę, albo dopóki się nie nawrócisz.

Potem opowiedziała ojcu naukę Misyonarza i oświadczyła, że jest zdecydowana cierpieć, aż on pokona swój nałóg.

Ojciec był bardzo wzruszony.

— Dziecko — zawołał — tyś zwyciężyła! twoja matka nie będzie już płakać. Zaprowadź mnie do tego księdza, a z pomocą Bożą dotrzymam przyrzeczenia.

I poszedł do spowiedzi i Komunii świętej i od tej chwili już więcej nie pił.

Michaś Lauer

podpor. W. P. z 2-giego pułku Strzelców Podhalańskich.

„Polsko ty moja! gdy już nie przytomni będziemy... wspomnij ty o nas o wspomnij!"
Słowacki.

Nie wywodził się z głośnej, tradycyami uświęconej rodziny. Ojciec jego pochodził z kolonistów niemieckich, dawno osiadłych w Galicyi. Przylgnął do tej ziemi, która go żywiła, całą duszą, ożenił się z miłości z Polką, wielką patryotką, to też dzieci wychowali na chwałę i pożytek kraju. Najstarszy ich syn Michaś rwał się do nauki, ale ojciec wyrobnik nie mógł mu wiele dopomódz, to też Michaś nie chcąc być ciężarem rodzicom, poszedł w świat i o własnych siłach skończył seminaryum nauczycielskie, był nauczycielem z powołania, z miłością zasiewał zdrowe ziarno w młode dusze. Kochała go też wdzięczna dziatwa niezmiernie, a ich rodzice otaczali ukochanego nauczyciela czcią największą, jak prawdziwego posłannika Bożego.

W czasie wojny austryackiej usuwał się zręcznie od frontu, za to kiedy nadszedł ów pamiętny dzień listopada, dzień zmartwychwstania Polski, Michaś był jednym z pierwszych w szeregach walczących. W odsieczy Lwowa i Przemyśla dokazywał cudów waleczności, oficerowie, koledzy przezwali go dyabłem dla jego nieustraszonej odwagi. Znanym był powszechnie jego „figiel łyczakowski", gdzie telefonicznie zażądał pomocy od komendy ukr. (bo władał tym językiem i narzeczem doskonale), a kiedy naiwni ukraińcy wysłali 2 kompanie do pomocy już dawno rozbitemu oddziałowi, dyabeł osaczył ich i do szczętu zgruchotał. Znali go w legii oficerskiej tak w krakowskiej, jak przemyskiej, bo nie tylko odwagą iście dyablą przodował, ale i humorem niezrównanym. On był duszą wszystkich naszych zebrań koleżańskich, w najkrytyczniejszych momentach nie tracił wesołości.

Jednak ta jego wesołość — był to tylko śmiech przez łzy, ale też nikomu nie pokazywał, umiał kryć swój ból serdeczny przed okiem ludzkiem; nikt też nawet nie przypuszczał, że ten wesoły dyabeł miał w życiu jakąś bolesną tragedyę. — A jednak tak było. Wojna zabrała mu najdroższe istoty, pozostał sam na świecie, a serce jego szerokie, pełne uczuć wzniosłych, nie miało już nikogo z najbliższych. To też oparł swoje sieroce serce na ziemi rodzicielce i całego siebie jej poświęcił. Na wojnie był również nauczycielem maluczkich, z dziejów ojczystych pamiętał wszystkie walki i ich szczegóły, zwłaszcza o wielkich hetmanach pełnych wiary i poświęcenia często żołnierzom swoim opowiadał z zapałem. Często żartowano z niego, że chce z żołnierzy historyków porobić, wtedy z ogniem wypowiadał swoje zasady, że żołnierz powinien wiedzieć, że nie pierwszy on ginie dla sprawy świętej i całości granic.

Dna 23 grudnia zeszłego roku został dyabeł przydzielony z innymi oficerami do 2 pułku Strzelców podhalańskich. Ten przydział jego był prawdziwem błogosławieństwem dla tego pułku, który się miał tak świetnie zapisać w historyi walk o wschodnie kresy.

Po kilku potyczkach szczęśliwie stoczonych, poznali żołnierze jakiego mają mistrza za przewodnika, to też każdy przepadał za nim. Poznał się na nim i stary wyga polowy porucznik Matzenauer, powierzając mu kompanię trzecią, która tyle walk szczęśliwie i bohatersko przebyła. Podp. Lauer wniósł z sobą do 2 pułku szalony zapał do walki, odwagi nie brakło nikomu, bo tak dzielni ofirerowie, jak Matzenauer, ś. p. Soja, Marczyk, Buba, Szczepaniak, Musiałowicz, Juryś, Głowacki i Strelinger zawsze przodowali męstwem i poświęceniem żołnierzom. Lauer przodował wielką fantazyą i pomysłami wprost szalonymi. Pod Dobrosinem 14 maja z 9-ciu żołnierzami zaatakował dwie sotnie ukraińców i to jeszcze na jakim terenie, po pas w bagnach podsunął się pod zasieki nieprzyjacielskie i gdyby się był mógł okopać, byłby niechybnie dokazał cudu, bo ukraińcy faktycznie poczęli uciekać z dobrze umocnionych pozycyj. Lauer ważył się zawsze na najbardziej ryzykowne wycieczki, żołnierzy oszczędzał, ale sam wystawiał się wszędzie na niebezpieczeństwa, nigdy nie padał nawet wtedy, gdy kilka kulomiotów siało na niego rzęsisty deszcz morderczych kul. Wierzył w szczęśliwą swoją gwiazdę i szedł na maszynki jak do tańca. I rzeczywiście tego „dyabła" kule się nijak nie imały, igrał z niebezpieczeństwem do tego stopnia, że niektórzy poczęli wierzyć, że „dyabeł" zna jakieś czary na kule. Był niestrudzonym i uczynnym nad podziw. Iluż to rannych zawdzięcza mu życie, których ratował zawsze z całem poświęceniem i to tak swoich, jak również i nieprzyjaciół. Dla wroga był strasznym w boju, dla bezbronnych zaś i rannych miał serce gołębie. Do uciekających nigdy nie strzelał, trzymał się tej zasady, że nie jest to po rycersku zabijać kogoś z tyłu. Często puszczał się sam w pogoń za

uciekającymi, chwytał ich za kołnierz i gdy się bez oporu poddawali, częstował ich papierosami, bo sam nie palił. Takim był ów „dyabeł“ w boju, przeszedł szczęśliwie wszystkie walki: stanął powtórnie na granicy kresów, których z taką miłością bronił wraz z dzielnymi Podhalanami, aż nieszczęśliwa bitwa pod Gaikami zwycięska i ostatnia, podcięła ten bujny kwiat życia woniejący poświęceniem rycerskiem. Do upadającego podbiegli przerażeni żołnierze, wnieśli go do okopów, jak świętość najdroższą, czerwona tarcza słońca rozprysła się w tysiące iskier i zgasła na nieboskłonie, mrok trwogi odbił się na opalonych twarzach wojowników, smutek rozpaczny ciężki jak ołów zaległ okopy — to był najcięższy dzień dla Podhalan. Tak zginął ten, którego całe życie było wielkim i wzniosłym poematem dla Ojczyzny.

Tam cisza święta koło Ciebie
słowik ci nuci na świtanie
i brzeza-płaczka ukolebie
do snu — na wieczne spoczywanie.
Już Ci nie zmącą ludzkie gwary
tej ciszy, ona Ci nagrodą
za trud i hojne krwi ofiary,
za wiosnę Twego życia młodą.
Brzozy cmentarne cicho gwarzą
o Tobie, mówią świerkom, sosnom,
żeś padł przeszyty kulą wrażą
i żale tęskne wkoło rosną.
A kiedy mroki ziem ogarną —
i miesiąc blady z chmur rozbłyska:
róże ci polne łzę ofiarną
rosią na grób Twój bez nazwiska.

J. Masson.

Jakich ludzi dziś nam potrzeba?

1) Ludzi, których nie można kupić.

2) Których silny charakter ostoi się wobec pokus pieniężnych.

3) Ludzi zarówno uczciwych w małych, jak i wielkich sprawach.

4) Ludzi, których dążenia przerastają drobną, codzienną troskę o dobrobyt własny.

5) Ludzi, którzy potrafią coś zamierzyć, a nie zniechęcą się pierwszem niepowodzeniem.

6) Ludzi, którzy nie uznają dwóch odmiennych rodzajów moralności: jednej w życiu prywatnem, drugiej — w interesach.

7) Potrzeba nam obywateli kraju, którzy stawiają dobro ogółu ponad własny, i wogóle ponad prywatny interes.

8) Ludzi, sławnych i wiernych w przyjaźni, tak samo w dniach szczęścia, jak i w dniach niedoli, przyjaciół.

9) Słowem, bardziej potrzebni nam są ludzie, niż paragrafy prawa. J. A-ski.

Kto jest największym kłamcą?

Alkohol! — A dlaczego? — Bo:

1. Alkohol mówi: wypij sobie, będziesz mocniejszy — a to kłamstwo, bo od alkoholu, to człowiek słabszy.

2. Alkohol mówi: wypij sobie, pójdzie robota łżej — a to kłamstwo, bo się bez trunku więcej zrobi.

3. Alkohol mówi: wypij sobie, będzie ci cieplej — a to kłamstwo, bo alkohol tylko głowę ogrzeje, a krew oziębi.

4. Alkohol mówi: wypij sobie, będziesz zdrowszy — a to kłamstwo, bo alkohol więcej choroby narobi, niż uleczy.

5. Alkohol mówi: wypij sobie, będziesz mądrzejszy — to kłamstwo, bo alkohol mózg zatruwa i rozum psuje.

6. Alkohol mówi: wypij sobie, będziesz weselszy — a to kłamstwo, bo alkohol to za grosz rozweseli, a za sto zasmuci, a głowa i wszystkie kości bolą.

7. Alkohol mówi: wypij sobie choć jednego — a to kłamstwo, bo gdy się skosztuje, to przestać się nie chce.

8. Alkohol mówi: wypij sobie, wstąp tylko do knajpy, wnet pójdziesz napowrót — a to kłamstwo, bo gdy się wstąpi, to trudno stamtąd powrócić.

9. Alkohol mówi: wypij sobie, będziesz szczęśliwszy — a to kłamstwo, bo najwięcej nieszczęścia alkohol narobi.

10. Alkohol mówi: wypij sobie, bo ja twój przyjaciel — a to kłamstwo, bo alkohol to złodziej, zbójca, łotr i oszust, co swoim poddanym płaci fałszywemi pieniędzmi.

Wszystko się dziwnie plecie,
Na tym tu biednym świecie,
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić!

Jan Kochanowski.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST SAPIŃSKI.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.